

Rekordomania, czyli jak utrzymać poziom w taternictwie pionowym

Pisze: Adam Śmiatkowski, twórca internetowej książki przejść: www.tatry.przejscia.pl

Taternictwo niejako w założeniu jest aktywnością polegającą na poruszaniu się w pionie. Upraszczając nieco to definiowanie, można by powiedzieć, że im większy pion, tym wyższy poziom musi prezentować taternik i tym większe laury mu się należą.

Lece istnieje pewien paradoks. Bowiem, by wznieść się na najwyższy poziom taternictwa, trzeba udać się na grani. I nie wysokość ma tu kluczowe znaczenie. Zaś poziom w ujęciu horyzontalnym, jaki tam znajdujemy, absolutnie nie obniża wartości przejść, a wprost przeciwnie, winduje je do najwyższych taternickich osiągnięć. Vlado Plulik uważa, że ze sportowego punktu widzenia przejście grani Tatr Wysokich jest trudniejsze niż wejście na Everest. Wyżej też cenił u siebie ten wyczyn niż zdobycie dachu świata. A więc przejścia na poziome grani mogą świadczyć o poziomie pokonujących ją osób i podnosić poziom taternictwa.

Absurdy rekordu

Nie trudności techniczne ani ów brak pionu czynią z grani tak honorną drogę, że pragnie jej niemal każdy adept taternictwa. To trudności psychiczne, skumulowanie napięcia i uwagi, do tego rozciągnięte w czasie, czynią przejście grani trudniejszym od wskazań stosunkowo niewielkiej cyfry i wyobrażeń tych, co pragną oceniać wspinaczkę jedynie w liczbach. Niewielu stać na zmierzenie się z granią. Droga długa, a splendor niewielki. Liczba dojrzałych prób jej przejścia też jest znikoma. Kto chce zaistnieć, być zauważonym, musi znaleźć rekord, coś spektakularnego. Jest więc rekordowo szybkie wejście na Risy, rekordowo szybkie przejście Orlej Perci. W dobie rekordów nie ma miejsca na estetyzowanie gór, a co dopiero przejść. W dobie rekordów samo wstąpienie na szlak jest treningiem, a liczba zawodów w górach przewyższa liczbę zawodników, którzy po górach chodzili. Czas i szybkość są wyznacznikami najwyższej wartości człowieka, są punktem odniesienia dla ustanawiania rekordu.

Absurd rekordu jest już tak głęboki, że dla laika zupełnie naturalnym pytaniem jest: czy taternikiem na poziomie może być osoba, która nie sięga po rekord? Żeby przemówić do „wyobraźni” (a raczej jej braku) rzeszy niewtajemniczonych, należy każdej czynności górskiej nadać znamiona rekordu. W Tatrach następuje mnożenie rekordów, podobnie jak w przypadku Mont Everestu. To rzecz jasna nie przynosi chluby ani Everestowi, ani Tatom, ani też rekordzistom.

Także na poziome grani nie wystarcza już sam poziom teje, ale potrzebny jest poziom rekordowy... Można powiedzieć, że tak jak każdy ma swój Everest, tak każdy ma swój rekord, a zwłaszcza każdy ma swój poziom. De facto każde przejście jest rekordowe i na poziomie, na miarę tych, którzy je robią. Zaś w zależności od tego, kto się temu przygląda czy też jak takowe przejście zostanie zaprezentowane lub wylansowane, rekord może stać się niepodważalnym.

Co jest więc osiągnięciem rekordowym? Co jest wyczynem taternickim? Jakie kryteria i do jakich wyczynów trzeba przyjąć by rekord stał się rekordowym? Może sprytne i elokwentne uzasadnienie własnego mistrzostwa wystarcza, by rekord wydarzył się naprawdę? Przy jakim rekordzie kończy się taternictwo, a zaczyna „rekordodzielnictwo”? Czy należy stworzyć jeszcze jedną dyscyplinę z pogranicza taternictwa i ultramaratonu? Czy nie można zostawić przejścia, przebiegnięcia, bez określania, jak ma na nie patrzeć postronny widz, zarówno laik, jak i znawca?

Rekordy i... rekordy

Przecieram oczy i spocone ręce, gdy co rusz, wyszukując jak najłatwiejsze drogi, z wyceną co najwyżej IV, spotykam na nich kluczowe miejsce z niewinną cyfrą IV+, które po przejściu okazuje się co najmniej VI, i myślę o tej przebiegłej skromności lojantów lat 70., którzy tak mało chętnie cenili swoje ausery. Myślę o solistach, którzy w obawie przed klubowymi karami ukrywali swoje wyczyny (także te na GGT), i nieodparcie nachodzi mnie współczesna analogia do przejść, które nieopisane na społecznościowych portalach, nierozgłoszone i nierozsiane jak komputerowy wirus, nie istnieją, giną w mrokach historii, nie ocierając się ani o sławę, ani o podniosłość rekordu.

Wojtek Kurtyka po przejściu Świetlistej Ściany drogą, której boją się współcześni, niepowtórzoną przez

Vlado Plulik uważa, że ze sportowego punktu widzenia przejście grani Tatr Wysokich jest trudniejsze niż wejście na Everest.



nikogo od ponad ćwierć wieku, mówił o wielkiej goryczy i smutku, gdyż nie udało się wejść na szczyt.... Nie padło nawet jedno słowo, które by czyjąkolwiek myśl kierowało do choćby wyczynu, a cóż dopiero rekordu. Pavel Pochyly podczas solowego przejścia głównej grani Tatr zimą spędził dwa dni i dwie noce pod uskokiem Wschodniego Żelaznego Szczytu ... by go przejść. Czy nie marzył, nie gonił go czas? Dlaczego o tym nie pamiętamy? Dlaczego niektórzy piszący o przejściach w Tatrach nie sięgają do tych przykładów, a przywołują częściowe przejście kolegi? Dlatego, że nie wiedzą o tamtych? Nie. Dlatego że przejście kolegi było rekordowe, a Pochyłego jeszcze nie. To tak jakby piszący przykładali nową miarę do wartości dróg. Jakby we współczesnym taternictwie zaczęły obowiązywać inne standardy. Jakby nastąpiła nowa kategoria przejść rekordowych. Oto przejście GGT wzorowane na stylu Pochyłego nie jest warte wspomnienia, może być mniej wartościowe od przejścia grani Tatr Wysokich przez kogoś namaszczonego na rekordzistę.

W minionym sezonie letnim Wielka Korona Tatr (14 najwyższych szczytów tatrzańskich) miała dwa przejścia. Pierwsze trzydniowe, męskie, w dużej części graniowe, z noclegami w terenie, z trudnościami V stopnia. Drugie dwudniowe, kobiece, z trudnościami nieprzekraczającymi II stopnia, z noclegiem w Śląskim Domu. Mimo tego samego celu, patrząc na nie pod kątem stylu, taternickich wyzwań i wartości, są oddalone od siebie niemal biegunowo. Zaś określanie tego drugiego jako rekordowego w stosunku do pierwszego to więcej niż nieporozumienie, to arogancja. To próba deprecjonowania wysokiej klasy łańcuchówki poprzez nadawanie taternickich walorów gonieniu po górach za rekordem. Poprzez tę nieustanną konieczność „rekordomania” przejść ważnych, mocnych dewaluje się przejścia inne, nie tylko istotne i znaczące, nie tylko nie mniej szczególne od tych rozreklamowanych. Dewaluje się te osiągnięcia, które w historii taternictwa odegrały znacznie ważniejszą rolę niż współczesne „rekordy”, które reprezentowały znacznie wyższy od nich pułap sportowy i wyczynowy, a jedynie przez umiarkowanie w ich głoszeniu umknęły uwadze tych, co słuch wrażliwy jedynie na słowa wielkie mają. To naśladowcy, dla mniej udanych i nieudanych prób, dla znalezienia punktu odniesienia dla swoich aspiracji, dopasowali wytrych w postaci rekordu i mianem tym oznaczyli to, do czego rzekomo się odnosili (czy nawet przekroczyli), a co okrojone, zredukowane do czasu bez przestrzeni stało daleko od tego, co dla „pierwszych rekordzistów” z rekordem się nie wiązało i do niego nie pretendowało.

”

W minionym sezonie letnim Wielka Korona Tatr (14 najwyższych szczytów tatrzańskich) miała dwa przejścia. Pierwsze trzydniowe, męskie, w dużej części graniowe, z noclegami w terenie, z trudnościami V stopnia. Drugie dwudniowe, kobiece, z trudnościami nieprzekraczającymi II stopnia, z noclegiem w Śląskim Domu. Mimo tego samego celu, patrząc na nie pod kątem stylu, taternickich wyzwań i wartości, są oddalone od siebie niemal biegunowo. Zaś określanie tego drugiego jako rekordowego w stosunku do pierwszego to więcej niż nieporozumienie, to arogancja. To próba deprecjonowania wysokiej klasy łańcuchówki poprzez nadawanie taternickich walorów gonieniu po górach za rekordem.

Był taki rok, kiedy przyszedł Żurek do Cywki i... dziękował za informacje techniczne i logistyczne mające mu pomóc w przejściu głównej grani Tatr. Roku owego 1975 obaj pokonali GGT, jeden w nieco gorszym stylu. Żaden z nich nie miał wątpliwości co do tego, który w jakim. Żadne z tych dwóch przejść nie wykopało rowu wrogości pomiędzy nimi ani nie aspirowało do miana rekordu. Czterdzieści jeden lat później GGT znów doczekała się dwóch polskich powtórzeń: jednego ze wsparciem z zewnątrz, drugiego w stylu alpejskim i częściowo samotnie. Jednocześnie stały się

one kością niezgody, przyczyną sporu o rekord, o palmę pierwszeństwa. Czyżby znak czasów czy też oznaka braku jednoznacznych kryteriów? Które lepsze? To szybsze, bo rekordowe? Co zasługuje na miano rekordu? Czy czas jest wyznacznikiem rekordu, gdy chodzi o taternictwo? Bo oto nadszedł czas wyczynu. Nie jest już ważne jak i z kim przeżywamy przygodę życia, tylko czy stanie się ona (owa przygoda) rekordem. O dobre albo o eliminacji partnera decyduje najwyższa sprawność... szybkość i determinacja w osiągnięciu nowego rekordu. W czasach gdy wszystko jest mega i ekstra, rekord staje się słowem superłagodnym, a właściwie to już się dezawuuje.

Wspinaczka po rekord?

Boiskowy charakter wspinaczki przewidział (będzie niebawem sto lat temu) Jan Alfred Szczepański. Powszechność ścianek wspinaczkowych i zawodów na nich rozgrywanych dokładnie wpasowuje się w jego (na ów czas) idee fixe. Nie mógł jednak słynny Jaszcz przypuszczać, że boiskiem staną się same Tatry. Już nie tylko przez organizowanie w nich zawodów, ale poprzez medialną rywalizację taterników. Nie mam wątpliwości, że ani do przejścia GGT, ani wielu innych taternickich przejść nie można przykładać jedynie miary cyfry, tak co do skali trudności, jak i czasu. Taternictwo nie zamyka się w stadionowym pojmowaniu rekordu, taternikami nie są jedynie ci, którzy uzyskują najlepszą cyfrę. Taternictwo to także, choć nie tylko, obcowanie z Tatrami w sposób szczególnie bliski, niemal intymny, taki, gdzie taternik zbliża się do rozumienia granitu poprzez wnikanie w jego strukturę, a skała przenika swojego zdobywcę. Poprzez tę bliskość granit i człowiek z sobą koegzystują na poziomach wcześniej niedoświadczanych...

Oddaliłem się od rekordu chyba o setki lat. Ale czyż owo pięknoduchostwo już nie istnieje? Czy jesteśmy już tak przesiąknięci rekordomania, że wstydzimy się jakichkolwiek estetycznych doznań? Czy

”

Rekordziści usiłują upchać w za wąskich ramach ultramaratońskie trendy ze wspinaczkową geometrią. To są jednak dwa różne światy: w jednym po każdym etapie zmienia się buty i dostaje regeneracyjne płyny, a w drugim marzy się o suchych skarpetach i butelce wody, których nie ma pod ręką. W jednym drży się przed tym, by nie być przez kogokolwiek wyprzedzonym, a w drugim ucieka się pod skałę przed piorunami i gradem...

też zdominowali nas rekordziści i biegacze, tak że czujemy się pośród nich jak kłody powalonych na bieżni drzew? Dążący do rekordu starają się wmówić innym trójwymiarowość płaskiej cyfry, przykładając do każdej czynności miarę czasu, przy czym czas na zamyślenie i czynności fizjologiczne nie jest wliczany do tak zwanego czasu netto, gdyż jest to czas, który szkodzi biciu rekordu.

Rekordziści usiłują upchać w za wąskich ramach ultramaratońskie trendy ze wspinaczkową geometrią. To są jednak dwa różne światy: w jednym po każdym etapie zmienia się buty i dostaje regeneracyjne płyny, a w drugim marzy się o suchych skarpetach i butelce wody, których nie ma pod ręką. W jednym drży się przed tym, by nie być przez kogokolwiek wyprzedzonym, a w drugim ucieka się pod skałę przed piorunami i gradem... Nie ma dwóch jednakowych przejść jednej drogi, tak jak nie istnieje mityczne ostrze grani.

Nie trzeba wielkich określeń, w których wszystko, co się robi, staje się naj: najlepsze i największe. Trzeba zaufania do odbiorcy, a może przede wszystkim świadomości odbierającego „ubogacone” treści. Wystarczy rzetelność bez przemilczeń, bez modelowania rzeczywistości przymiotnikami i cyframi. Powściągliwość nie jest konieczna, ale po prostu dokładność i uczciwość. To, czego oczekivalibyśmy od innych, tak aby możliwe stało się odróżnienie rzeczywistego rekordu od gonitwy za sławą.

Dyskutuj o sprawie:

Tekst był pisany na zamówienie kwartalnika „Tatry”. Został wycofany przez autora z powodu skrócenia go przez redakcję o połowę, pomimo zachowania ustalonej wcześniej liczby znaków. Redakcja „Taternika” zaprasza do dyskusji nad postawionymi tezami, nad zadanymi pytaniami.